

Nazywam się Kowenko Regina . Urodziłam się piętego lipca 1924 roku w rodzinie składającej się z szesciorga dzieci . Ojciec mój był policjantem , matka nie pracowała . Opiekowała się dziećmi i prowadziła dom .

W trzydziestym dziewiątym roku , w czasie , gdy zaczęła się wojna ojciec mój razem z kolegami wycofywał się z Białegostoku i zabrakł najstarszego brata - starszego ode mnie Stanisława . On był już starszym chłopcem i ojciec myślał , że może być mu tam przydatny . Zostaliśmy w ten sposób sami . Nie było nam łatwo . Było nas tyle osób i matka ciężko chora nie mogła pracować zawodowo . Utrzymywaliśmy się z tego , co sprzedawano . To było trudne , bo rodzina była przecież liczna i nawet przed wojną trudno było utrzymać taką rodzinę .

Ja miałam wtedy piętnaście lat i zostałam w domu . Nie było właściwie możliwości dalszego kształcenia . Można było kształcić tylko jedno dziecko więc najstarszy brat uczył się bardzo dobrze i on uczył się w szkole średniej , a ja byłam w domu . Ponieważ brat ^{po-}szedł z ojcem ja musiałam w domu opiekować się młodszymi dziećmi . Po jakimś czasie dowiedzieliśmy się , że ojciec razem z bratem trafili do sowieckiej niewoli . Dostaliśmy nawet listy od ojca . Pisał , żebyśmy się trzymali razem wszyscy . Potem jednak przestały przychodzić .

W listopadzie wrócił brat i oczywiście podjął naukę w swoim gimnazjum . Pewnego dnia , a była to Wigilia Bożego Narodzenia mama przygotowywała kolację . Przyszedł do nas pewien człowiek . Ja siedziałam przy oknie i cały czas czytałam książkę . Ten człowiek wysiadł z samochodu osobowego i pytał się o mojego brata . Mama powiedziała mu , że brat jest w kościele , poszedł bowiem rzeczywiście do spowiedzi i miał niedługo wrócić . Ten mężczyzna podziękował , wyszedł , wsiadł do samochodu i ten samochód nadal stał przy naszym domu / ja wszystko widziałam przez okno /.

Obserwowałam go przez okno , ale nie zwracałam na to szczególnej uwagi . Po pewnym czasie zobaczyłam wracającego brata . Ten mężczyzna wyszedł z samochodu i poprosił go do siebie , on podszedł . Wtedy on wepchnął go do samochodu i samochód natychmiast ruszył i odjechał . Narobiłam krzyku , pobiegłam do mamy , mama wybiegła , ale już nic nie można było zrobić . Wtedy ostatni raz widziałam brata , więcej już go nie zobaczyłam .

Mieszkaliśmy przy szosie , to jest w tej chwili Szynwalda . Nasz domek był jeszcze niewielki , wtedy niewykonywany , a materiał na większy nie mieliśmy nagromadzony . Razem z naszym połączony był domek także policjanta Garncarza . Ten domek został sprzedany , mama chodziła do więzienia , szukała mojego brata , błagała , ale oni tylko mówili , że nie mogą jego wypuścić . Mama pytała się , co oni chcą od niego , przecież to tylko dziecko / miał wtedy jakieś osiemnaście lat / .Paczki były przyjmowane , ale nie wiadomo , czy do niego coś docierało ~~to nie wiadomo~~ . Po jakimś czasie przestano przyjmować paczki i mówiono nam , że nie ma go , że wyjechał i na tym skończyło się . Mama przeżyła to bardzo ciężko , ale musieliśmy przy stosować się do nowej sytuacji .

Trzynastego kwietnia czterdziestego roku wywieziono i nas . Kilku uzbrojonych żołnierzy weszło i kazało się nam pakować . Ponieważ mama chora leżała w łóżku sama musiałam pakować wszystko co mogłam , bo byłam w domu najstarsza . Wśród tych żołnierzy był człowiek który dobrze wiedział , gdzie jedziemy i było mu żal tych dzieci radził nam więc , co możemy i powinniśmy zabrać ze sobą . Pomagał mi też wrzucać wszystko do kufrów . Zobaczył , że mamy maszynę do szyci więc też poradził mi ją zabrać . Zapakowaliśmy to wszystko , wynieśliśmy to na ciężarówkę i zawieźli nas na dworzec . Tam zorientowaliśmy się że takich jak my jest mnóstwo . Zapakowali nas do wagonu bydłowego .

Pamiętam , że wtedy miałam jeszcze okazję żeby uciec , bo akurat przejeżdżał

pociąg do Grajewa / ja tam mama rodzinę i właściwie w tym zamieszaniu mogłam uciec , ale wtedy zostawiłabym matkę i całe małe rodzeństwo, pojechałam więc z nimi . Jechaliśmy cały miesiąc . Były postoje, gdzie dawano nam tzw. kipiatak do picia , czyli gorącą wodę . Od czasu do czasu trochę chleba , od czasu do czasu była też zupa . Oczywiście tak było rzadko . W zasadzie jadło się to , co wzięło się z domu . Było bardzo ciężko . Warunki były złe . Siedzieliśmy na takich pryczach jeden obok drugiego i było bardzo duszno . Po środku był piecyk i dziura w podłodze do załatwiania potrzeb fizjologicznych . Jechaliśmy więc tak przez cały miesiąc z postojami .

Przywieziono nas do kołchozu w Biełojarska . Tam nas rozlokowano do domów ludzi mieszkających w tym kołchozie . Te domki to były lepianki z glinianą podłogą , posypaną piaskiem . Dołączono nas do niewielkiej rodziny . Tam było jedno niewielkie pomieszczenie , w którym mieszkało już dwoje ludzi i my musieliśmy się zmieścić razem z nimi . Było ciasno . Po jakimś czasie dostaliśmy miejsce w innej chatce , gdzie połączono nas z inną rodziną polską . To była pani Jakubowska z dwiema córkami . Ona przyjechała tam tym samym transportem co my . Potem zamieszkiwali w Korszach . Czasem odwiedzałam ich . Pamiętam tylko , że jeżdżąc na z nich nazywała się Irena .

Przemieszkaliśmy tak przez zimę . Ja pracowałam w kołchozie . Miałam normalną pracę polową . Zimą nie pracowaliśmy . Tylko od czasu do czasu były jakieś prace . O żywność musieliśmy sami się starać . Dawali nam co prawda pszenicę na chleb i musieliśmy ją zmielić na żarach . Czasami dostaliśmy też olej słonecznikowy , trochę ziemniaków oczywiście wszystko za te tzw. trudodni, które wypracowałam . Oprócz tego i przede wszystkim sprzedawało się rzeczy , które przywiozło się z domu .

Potem zabrano nas na prace na kolei , na torach . Zabrano nas do wagonów . Tam były przygotowane prycze i tam mieliśmy mieszkać

Oczywiście z naszej rodziny tylko ja pracowałam i cała rodzina musiała z tego jakos wyżyć . Tam byli sami Polacy . Praca była ciężka . Bez względu na temperaturę trzeba było pracować na torach . Nawoziło się żwir , umacniało się szyny . W miarę sił każdy musiał wszystko robić i wykonać swoje obowiązki . Najtrudniejsza praca to było to nagruzanie żwiru na platformy , bo one stały dosyć wysoko , a my musiałyśmy z dołu narzucać ten żwir na wagony , które były wysoko . Wykonywałyśmy tę pracę w ciągu dnia , ale i nocą , bo trzeba było to ten żwir rozgrużać . Tak pracowałyśmy do lata . Potem przewieziono nas do Akmoleńska . W tych wagonach , gdzie mieszkaliśmy też byliśmy z innymi , ale jakos każda rodzina miała swój kątek . Oczywiście był tam niewielki piecyk , żeby można było coś zagotować . Wszystkie rodziny musiały się zmieścić na tym jednym piecyku i gotować to , co co się dało . Gdy pracowaliśmy na tej kolei już nie dostawaliśmy pszenicy , ale już pieniądze i można było coś kupić w sklepie . Oczywiście niewiele w tym sklepie było . Zresztą tych pieniędzy było mało i nadal trzeba było sprzedawać rzeczy , które mieliśmy ze sobą żeby jakos wyżyć .

Maszynę do szycia trzymaliśmy do ostatniej chwili , jak tylko nam udało się ją utrzymać . Potem jednak musieliśmy i ją sprzedać za bardzo niewielką ilość , bo tylko kilka bochenków chleba . Tak samo sprzedaliśmy ostatni płaszcz policyjny ojca , który mieliśmy ze sobą , a to też była wyśrodkowa rzecz . Właściwie to mamusia sprzedawała te rzeczy , ale płaszcz to ja zaniiosłam na rynek i ja miałam go sprzedać . Podeszedł do mnie człowiek , który chciał kupić ten płaszcz . Sam był bardzo biedny , obdarty i ja ten płaszcz oddałam za bezcen , bo tak było mi zál tego człowieka . Wydawało mi się , że był biedniejszy ode mnie .

W Akmoleńsku mieszkaliśmy jakiś czas w takim baraku , w którym także rodziny były rozlokowane po różnych kątach . Tam było zimno .

Przyszła tam do nas jedna Rosjanka i zaproponowała mamie, żebyśmy przenieśli się do niej do domu. To była również niewielka służbówka złożona z jednego pokoju, gdzie mieszkała ta Rosjanka z dziewięcioletnim synem. To była kobieta z dobrym sercem, bo zobaczyła jak mama męczy się z tym drobiazgiem - przecież najmłodszy brat miał trzy lata, gdy nas wywieziono. Mogłam więc pracować tylko ja. Jako pracująca otrzymywałam sześćset gram chleba, a tzw. żywność trzysta. To była podstawa naszego wyżywienia. Resztę dekupywało się za zarobione przeze mnie pieniądze i za sprzedane rzeczy.

Przemieszkaliśmy u tej kobiety przez zimę, a potem zabrano nas poza Akmołęnsk, niedaleko, do cegielni. Tutaj pracowałam już do końca. Byłam tu przy produkcji cegieł. To także była trudna i ciężka praca, bo przez cały czas pracy / dziewięć godzin z krótką przerwą na odpeczynek nosiło się formę drewnianą, namokniętą i ciężką. W tej formie cegły w sumie ważyły dwadzieścia pięć kilogramów. Trzeba było to nosić przed sobą, formować tę cegłę, wypełnić i układać potem. Kto wyrobił normę ten dostawał w stółcówce szklankę mleka. Poza to / tam otrzymywało się to / to był duży powód do radości, bo to dawałam mamie.

Tak żyliśmy do czasu, gdy zaczął się nami interesować Związek Patriotów Polskich. Wtedy dostaliśmy trochę odzieży, żywności / jakieś konserwy, mąkę, cukier / . Już wtedy było nam lepiej.

Ja pracowałam w tej cegielni: wiosna, lato, jesień. Zimą robiłyśmy na drutach rękawice, skarpety. Były tam z nami Bułgarki, które umiały prząść wełnę więc one zgrzebna wełnę przędły, a dziewczęta polskie robiły na drutach. Było nas tam spore dziewcząt mniej więcej w jednym wieku. Byłyśmy taką dosyć zgraną gromadą i razem pracowałyśmy. Poza tym ja zajmowałam się trochę działalnością szkolną.

Za opiekowałałam się tymi dziećmi , bo od kiedy Związek Patriotów zaczął opiekować się nami to powstała i polska szkoła . Chodziły do niej w wszystkie nasze dzieci . Przedtem ,gdy byliśmy w kolchozie to dzieci chodziły do rosyjskiej szkoły , a tutaj już do polskiej .

Były tam polskie nauczycielki , które w ten sposób pracowały w swoim zawodzie . Ja pomagałam im tylko trochę w wolnych chwilach . Między innymi zorganizowałam bardzo ładną szopkę na Boże Narodzenie . Sama opracowałam cały scenariusz , na podstawie kolęd , z którymi zapoznałam mnie moja mama . . Ona miała bardzo ładny głos i dobrze śpiewała . Wypracowałam ją i cały scenariusz opracowałam . Szopka była bardzo ładna , a na naszej tej uroczystości mieliśmy gości ze Związku Patriotów Polskich i bardzo im się to podobało . Pamiętam , że wtedy dostałam więcej niż inni odzieży i żywności za tę moją pracę .

Tak żyliśmy do czasu , gdy zorientowaliśmy się , że już niedługo wrócimy do kraju . Zabrano nas , dokładnie po sześciu latach jak wywieziono - trzynastego kwietnia . Przyjechaliśmy do Białegostoku . W naszym domu mieszkali jacyś ludzie , materiał , który był zebrany na budowę domu został rozgrabiony . Mebli naszych też nie było . W naszym domu mieszkało małżeństwo z czworgiem dzieci . Początkowo obruszali się i nie chcieli nas przyjąć , ale potem przyjęli nas i oni mieszkali w jednym pokoju , a my w kuchni i tak wspólnie jakoś żyliśmy przez dłuższy czas dopóki oni nie dostali mieszkania .

Zaczęłam pracować w Zarządzie Miejskim , ponieważ moja mama skontaktowała się z moim kierownikiem ze szkoły , panem Lechem , który w tym czasie był przewodniczącym Rady Miejskiej i on mnie przyjął do pracy . Potem zorientowałam się , że są organizowane kursy wprowadzające w zagadnienia wychowania przedszkolnego i pracując zaczęłam jednocześnie się uczyć .

W Biełojarsku , do którego nas przywieziono było bardzo dużo Polaków i również Ukraińców . Ale byli to Polacy wywiezieni dużo wcześniej . Oni mieszkali tam już

dziesiątki lat . To byli Polacy z terenów wschodnich i ze Związku Radzieckiego i Ukrainy . Oni nas rozumieli i służyli nam pomocą w miarę swoich możliwości . Ich język był nieco zruszczony , ale umieli po polsku . Tam było kilkadziesiąt domków , a w nich mieszkali właśnie Polacy i Ukraińcy . Innej narodowości tam nie było , chyba , że władze zwierzchnie to byli Rosjanie . I nauczyciele . Szkoła tam była dziesięciolatka . Językiem podstawowym był rosyjski . Tam chodziły przede wszystkim dzieci rosyjskie , a Polaków było tam niewiele . Nazywam rosyjskimi te dzieci , które były przywiezione wcześniej . Ta szkoła to był budynek murowany , w którym mieszkaly władze ~~szkolne~~ Akmoleńska . / Mówię już o szkole polskiej / w jednej części były więc władze , a w drugiej zorganizowano polską szkołę . Szkoła mieściła się w dwóch izbach . Tam chodziły wszystkie polskie dzieci i wszystkie chciały chodzić nareszcie do polskiej szkoły . Tam otrzymywały trochę posiłku , tzn. jeden raz dziennie zupę i chleb .

Dwoje naszych najmłodszych dzieci zabrano do sierocińca , gdy mama była najbardziej chora i nie mogła sprowadzić już opieki a ja pracowałam . Była tak słaba , że nie mogła sprawować opieki nad tymi młodszymi dziećmi i przyszedł ktoś do babaku z miejscowych władz i powiedział , że może nam pomóc , bo jest sierociniec polski w Akmoleńsku i zabiorą tam dzieci . My zgodziliśmy się i Krysią z Pawełkiem zostali zabrani do tego sierocińca . Tam były polskie dzieci . Oni cały czas ten uczyła się tam i my przyjechaliśmy do kraju bez nich , a one wróciły oddzielnie . Mama musiała je odnaleźć po powrocie do kraju i odnalazła je po jakimś czasie i przywiozła . Wróciłyśmy tylko we trzy osoby : ja , mama i siostra młodsza ode mnie . Jeden brat Stefan , gdy miał czternaście lat odszedł do armii Andersa . To było wtedy , gdy mieszkaliśmy przez zimę u tej Rosjanki .

Mój ojciec trafił do Ostaszkowa i tam został rozstrzelany . Razem z innymi policjantami . Jest na liście katyńskiej . O bratu słyszałam jakieś wiadomości , ale nie są pewne .

Jeden człowiek mówił , że był razem z nim i widział mojego brata . Podobno zmarł na czerwonkę . Dowodów na to nie ma żadnych . O ojcu ślad mamym , o bratu nic , mimo , że szukałam go przez Czerwony Krzyż

Z tymi dziećmi zajmowałam się najwięcej , gdy przygotowywałam szopkę . Czasami trzeba było napisać tam jakieś hasła i ja nie umiałam ^{pisać} ~~czytać~~ po rosyjsku , a te hasła musiały być po rosyjsku , więc litery przepisywałam z gazety .

Z Polaków , których tam spotkałam pamiętam szczególnie Jadwigę Kochanowską , bo razem z nią mieszkaliśmy jakiś czas . To była moja bliska koleżanka . Poza tym była tam Fredzia Szaruniewicz , obecnie Dmuchowska . Również pamiętam Zofię Ołdziejewską . Jest również gdzieś w Białymstoku Wyszynska , ale jej obecnego nazwiska też nie znam .

Nie pamiętam tej stacji do której nas dowieźli , była ona spora i stamtąd zabierali nas wozami i rozwozili . Tamtejsi ludzie wydawali się nas rozumieć . Starali się z nami utrzymywać jakiś kontakt . To byli dobrzy ludzie . Pomagali i doradzali jak mamym postępować , co ukraść żeby przeżyć . Oni mieli swoje gospodarstwa , a na nich jakąś krowę , świnkę . My nie mieliśmy tam swoich domów i musieliśmy korzystać z gościnności tamtych ludzi . Z nimi porozumiewaliśmy się po polsku .

opisał Dawid Bockowski